
autor: Wiktoria Pętał

szkoła: Liceum Ogólnokształcące nr VIII im. Bolesława Krzywoustego we Wrocławiu

opiekun: Edyta Jarzębowska

temat: *„Łyzka dziegiu popsuje beczkę miodu”. Rozważ aktualność tego przysłowia.*

Kiedy 21 sierpnia Roku Pańskiego 1968 Związek Radziecki najechał Czechy, zniknęły załóżki liberalizmu, który zaczął się tworzyć podczas praskiej wiosny. Zniknęła wolność słowa, miała też zniknąć religia. Kościoły zamykano, a ich skarbcze opróżniano. Brat Wojtych z zakonu kapucynów od wieków opiekujących się praską Loretą, patrzył z niemą grozą na to co działo się wokół niego. Przyjdą, wiedział, że przyjdą i tu, ale nie sądził, że stanie się to tak szybko.

Hiobowe wieści przyniósł mu brat Zlatko, pewnego listopadowego poranka.

- Co?! – brat Wojtych zerwał się na równe nogi, przewracając kubek.

- Wywożą wszystko, co cenniejsze rzeczy przetapiają albo sprzedają – mówił powoli bladym jak ściana brat Zlatko. – Kazali nam zrobić inwentaryzację.

- O nie! – powiedział z mocą brat Wojtych. – Po moim trupie! Ja nie dam! Ja nie pozwolę, słyszysz Zlatko?! – uderzył dłonią w stół, kubek potoczył się aż do krawędzi i spadł z cichym, pełnym wyrzutu brzękiem, pękając na dwie części.

- Więc co zamierzasz? – brat Zlatko kucnął, by pozbierać resztki kubka.

- Nie wiem... - zaczął nerwowo krążyć po swoim gabinecie, pocierając nasadę nosa.

- Pójdę do Komitetu, postaram się to wyjaśnić. Może jest jakiś sposób.

Zlatko ze smutkiem skinął głową, on też rozumiał powagę sytuacji. Nie mieli szans, ale trzeba było walczyć. Brat Wojtych w pośpiechu naciągnął na siebie płaszcz i nie kłopotując się zapinaniem wypadł na ulicę. Do siedziby administracji niemal pobiegł, potrącając po drodze przechodniów. Niektórzy rzucali mu krzywe spojrzenia, habit nie budził już zupełnie szacunku.

Brat Wojtych był z siebie naprawdę dumny, udało mu się nie zrobić krzywdy żadnemu z niemiłosiernie powolnych i niekompetentnych urzędników. A mógłby. I chciałby. Po trzech godzinach krążenia po wąskich, wiecznie zadymionych pokojach, odesłano go wreszcie do Krystowa Ludda, dyrektora projektu zamykania kościołów. Krystow był potężnym, jowialnym mężczyzną o czerwonej twarzy i obwisłych policzkach dobrze spasionego prosięcia. Brat Wojtych skłonił mu się sztywno, wchodząc do gabinetu.

- A witam, witam, towarzyszu – powiedział z naciskiem Krystow, wskazując mu krzesło naprzeciwko siebie. – Właśnie telefonowali do mnie z informacją o waszym przyjeździe. Proszę, siadajcie – zachęcił, bo brat Wojtych dalej stał, sztywny, jakby kij połknął.

- Ja... - zaczął brat Wojtych i urwał, bo rzeczywiście, nie wiedział co powiedzieć. Jak do tej pory improwizował, ale teraz kiedy przyszło do konkretów, miał pustkę w głowie.

- Widzicie, towarzyszu – westchnął Krystow z cierpiętniczą miną. – Tak to z wami, klechami, już jest. Robicie zamieszanie, a sami nie wiecie, o co wam chodzi – uśmiechnął się z pobłażaniem, a brat Wojtych aż się zapowietrzył.

- Ależ, szanowny panie... – zaczął, starając się nad sobą zapanować – przyszedłem w bardzo konkretnej sprawie. Opiekuję się Sanktuarium Loretańskim, w którym, jak panu zapewne wiadomo, znajdują się bezcenne zabytki. Wywiezienie ich byłoby świętokradztwem!

- Ach nie byłoby, nie byłoby, nie dramatyzujcie towarzyszu – machnął ręką Ludd. – No, ale dobrze – oparł przedramiona na szerokim biurku, splótł dłonie i spytał już dużo konkretniej: – Zróbmy tak, ja wysłucham waszej propozycji, a potem zadecydujemy, co zrobić. Więc?

Brat Wojtych czuł, że serce zaczyna walić mu jak oszałałe, zrobiło mu się nieznośnie gorąco. Zaciśnął dłonie w pięści, aż pobieleła mu kłykcie, i wreszcie powiedział.

- Chciałbym, żeby w kościele zorganizowano muzeum, w którym za drobną opłatą można by zobaczyć skarbiec świątynny – przez moment w gabinecie zapanowała cisza, aż wreszcie Ludd roześmiał się głośno i gardłowo.

- A niech was! I takie myślenie mi się podoba –

I Już? Brat Wojtych miał wrażenie, że coś za łatwo mu poszło. Milczał, czekając na to, co powie Krystow.

– Nawet lepiej, nie trzeba będzie burzyć i jeszcze pieniądze z tego będą. O, wycieczki szkolne się będzie organizować – rozmarzył się Krystow. - A wy, towarzyszu... - spojrzał na niego pytająco.

- Hlava – podpowiedział brat Wojtych.

- A wy, towarzyszu Hlava będziecie odpowiedzialni za muzeum. No i jak? Zadowoleni?

- Tak – odpowiedział trochę zbyt szybko. – Tak, bardzo dziękuję. Bóg zapłać!

- Ej, ej, towarzyszu Hlava, tylko bez takich – upomniał go z lekkim uśmieszkiem Krystow.

Zniknęły drewniane ławy, za to przy wejściu pojawiło się biurko, kasa i mały stojak z pocztówkami po dziesięć koron każda. Obrazy świętych w grubych ramach pozostawiono, do każdego dołączając białą tabliczkę z informacją o autorze i krótkim opisem dzieła. Z ołtarza zniknęły świece, kwiaty, zgaszono dwie czerwone lampki. To już nie był ołtarz, przed którym można było klękać. Pod ścianami na przeszklonych regałach pyszniły się wspaniałe kosztowności skarbcza. Zwieńczeniem tej kolekcji była prawie metrowa hostia ze złota. Brat Wojtych aż się zapatrzył. Sześć tysięcy dwieście dwadzieścia dwa diamenty opalizowały w białym świetle lampki. Nieśmiało uśmiechnął się do siebie. Przechytrzył komunistów, ha ha. Udało mu się. Hostia i cały dorobek tak pieczołowicie przechowywany, był bezpieczny.

Ba, teraz nawet zwykli ludzie będą mogli go oglądać.

- Muszę wam przyznać, towarzyszu – odezwał się Krystow – że nieźle to wyszło – poklepał brata Wojtycha po plecach z taką siłą, że ten aż się zachwiał. – Faktycznie, sporo tych cacek nakradliście.

- Nie nakradliśmy... – powiedział z godnością, odwracając się w stronę dyrektora. Chciał mówić dalej, ale zrezygnował. Nie warto było drażnić lwa. Jeszcze by wycofał zgodę na muzeum.

- Chodźmy na zewnątrz, chcę, żebyście zobaczyli, jaką tabliczkę wczoraj przywiesili. Sam wybierałem nazwę – powiedział z dumą. Założył kapelusz na głowę, kierując się w stronę wyjścia. Brat Wojtych, chcąc nie chcąc, podreptał za nim.

Dzień był zimny, wietrzny i chyba zanosilo się na śnieg. Pierwszy tego roku.

- I jak? – spytał. – Tego się, towarzyszu, nie spodziewaliście, co? – zarechotał.

Przy wejściu do kościoła zamiast rozpiski mszy wisiała duża mosiężna tabliczka, głosząca, że oto w Sanktuarium Loretańskim znajduje się teraz *Muzeum wyzysku klasy robotniczej*. Brat Wojtych odwrócił wzrok, zacisnął dłoń na różańcu. Zrobił to dyskretnie, by dyrektor nie zauważył. Nie odpowiedział, pokiwał tylko powoli głową.

- Ty widzisz to, Miros – mruknął jeden z przechodzących obok kościoła mężczyzn. - Ażeby ich, okradają nas i jeszcze się chwają – splunął pod nogi bratu Wojtychowi.

Ten nazwany Mirossem tylko wzruszył ramionami, z pogardą patrząc na jasny, barokowy kościółek. Mogli mu teraz pluć pod nogi, brat Wojtych dopiął swego, skarbiec był bezpieczny. Tylko to się liczyło. A jednak wcale się nie cieszył. Sam nie wiedział co to właściwie było, dziwne uczucie, jakby ściskanie w piersi. Gorzki posmak w ustach i poczucie porażki. Cóż, nie można przecież mieć wszystkiego. Kościół się jeszcze podniesie, najważniejsze, żeby miał z czego powstawać.